

Największa w dziejach ludzkości współpraca naukowców całego świata

W czasie od 1 lipca 1957 roku do 31 grudnia 1958 r. trwać będzie Międzynarodowy Rok Geofizyczny jako kontynuator dwóch Międzynarodowych Lat Polarnych (1882—1883 i 1932—1933).

Lata Polarne ograniczały się jednak tylko do badań regionów polarnych, Rok Geofizyczny obejmie badaniami całą kulę ziemską. Będzie to największe naukowe przedsięwzięcie w historii ludzkości. Udział w nim weźmie około 5 000 uczonych, przeszło 40 państw, które oddadzą do dyspozycji tego Roku najnowsze zdobycze naukowe, i 1.017 stacji naukowych, a wśród nich stacje na Biegunach Północnym i Południowym. W szczególności współpracować będzie między sobą 559 stacji meteorologicznych, 196 geomagnetycznych, 82 stacje obserwacji czynności Słońca i 80 badawczych stacji promieni kosmicznych. Tylko przy współpracy tych wszystkich stacji naukowych będzie można osiągnąć ciągłość badań nad zjawiskami Nieba i Ziemi zarówno w

Krótkie relacje z przygotowań do Międzynarodowego Roku Geofizycznego

dniach chmurnych jak i słonecznych.

Meteorologia

Głównym przedmiotem badań, podobnie jak w obydwu Latkach Polarnych, pozostanie nadal meteorologia. Podczas gdy w 1882—1883 studia prowadzone były tylko na powierzchni ziemi, w Roku Geofizycznym 1957—1958 objęły one również atmosferę powietrzną. Już wówczas niebicie twierdzono, że zjawiska pogody są następstwem oddziaływania górnych warstw powietrza na powierzchnię ziemi. Przy pomocy sond radiowych w zbliżającym się Roku Geofizycznym mierzona będzie temperatura górnych warstw powietrza dwa razy dziennie, a wiary cztery razy dziennie do wysokości 20 km, a może nawet do wysokości 30 km. Badania przeprowadzone będą nie tylko na kontynentach, ale również na małych oceanicznych wyspach, które dotychczas nie były brane w rachubę. Wielka sieć stacji uzbrojonych w automatyczne aparaty obserwować będzie zjawiska przyrody takie, jak np. zorze polarne, obejmujące tylko określonej szerokości geograficznej.

Geomagnetyzm

W Roku Geofizycznym zwrócona będzie specjalna uwaga na burze magnetyczne. Wprawdzie badania w tym zakresie trwają już długi szereg lat i wyniki ich są znaczne, ale sieć obserwatoriów nie była jeszcze dość gęsta, aby można było wyciągnąć z dotychczasowych spostrzeżeń ściśle wnioski naukowe. W czasie od 1957 roku do 1958 r. stacje jonosferyczne uruchomią aparaty rejestracyjne, które notować będą wszystkie zaburzenia magnetyczne.

Długość i szerokość

W czasie trwania Roku Geofizycznego poddany zostanie rewizji dotychczasowy stan wiedzy o szerokościach i długościach geomagnetycznych. Oczekiwane są poważne korektury w katalogu gwiezdowym. W pomiarach weznan udział wszystkie obserwatoria, które pozostają w kontakcie z Międzynarodowym Biurem Mierzenia Czasu oraz te, które urządzone będą w pobliżu Równika i południowej hemisfery, aby wypełnić luki,

istniejące w tej dziedzinie badań naukowych. Przy pomiarach zastosowane będą instrumenty nowego typu.

Obserwacje Słońca

Rok Geofizyczny przypadnie na okres największego nasilenia plam słonecznych. Ponieważ zagadnienia geofizyczne związane są z czynnościami Słońca, będzie ono przedmiotem wszechstronnych i nieustannych badań. Dokonane więc będą studia spektroskopijne, spektrograficzne i foto-

(Dokończenie na str. 3)



Rozmowa prawie prywatna z HALINĄ CZERNY-STEFANSKĄ

KANADA ROZBRZMIELAJĄCA CHOPINEM

— Trudno w jednej rozmowie zamknąć wrażenia spłodzonego trzydziestoletniego pobytu i występów w Stanach Zjednoczonych, Kanadzie i Włoszech. Może więc ograniczymy się do Kanady, w której była pani pierwszą artystką polską występującą po wojnie.

— W Kanadzie bawiłam równo miesiąc — od 6 stycznia do 7 lutego. Pracowity to był miesiąc: 9 publicznych występów, plus kilka prywatnych — w polskich domach. Gdy dodać do tego jeszcze olbrzymie odległości, które musiałam pokonywać, jeżdżąc kilkakrotnie tam i z powrotem — od Atlantyku po Pacyfik (14 godzin lotu), właściwie zostawał mi już tylko czas na ćwiczenia.

— A nie miała pani sposobności poznać Kanady, jej życia, ludzi?

— Niestety — nie. Wyniosłam tylko najogólniejsze wrażenia.

— Oczywiście, szczególnie interesowało panią życie muzyczne?

— Nie jest ono w Kanadzie zbyt bogate: dwie, trzy stałe orkiestry, dwa konserwatoria królewskie — w Montrealu i Toronto — obejmujące wszystkie stopnie nauczania, dwa nowopowstałe balety — w Toronto i Winnipeg (jeden z nich bardzo pragnąłby wystąpić w Polsce). To wszystko. Brak opery, operetki, brak na ogół specjalnych sal koncertowych. Tak np. w Vancouver występowałam w sali muzeum obrazów, w Montrealu — w sali hotelu Ritz.

— Wspomniała pani o swych koncertach — może kilka słów na ich temat: repertuar, przyjęcie, wrażenia...

— Program różny. Tak np. w dniu rocznicy Mozarta daliśmy z mężem koncert Mozartowski na dwa fortepiany. Najczęściej jednak — Chopin, który otaczany jest tu prawdziwym kul-

tem. O tym kulcie Chopina przekonałam się m. in. na ottawskiej premierze polskiego filmu „Młodość Chopina”...

— ...który — jak donosiła nasza prasa — poprzedziła pani recitale chopinowskim.

— Tak. Pozostanie mi on na zawsze w pamięci. Może nawet nie tyle sam występ, ile poprzedzające go przeżycie. Oto, gdy przed moim recitalem (grałam po trzy kwadranse przed dwoma seansami) puszczono krótkometrażówkę „Mazowsze” i usłyszałam skoczną polską melodię — nie wytrzymałam nerwowo... rozplakałam się, nie bacząc na rozmarzającą się szminkę. Z trudnością zdołałam się opanować, by wyjść na estradę.

— A publiczność?

— Bardzo serdeczna, gorąca, doskonale rozumiejąca i czująca muzykę. W ogóle amerykańska publiczność i dowody sympatii, jaką mi okazała, będą wspominać nader mile. Podobnie prasę amerykańską. Recenzje, które mi poświęcono, miały raczej charakter oszalałości, niż recenzji muzycznych. Gorzej było z prasą tamtejszej Polonii. Ma ona, niestety, charakter reakcyjny. Nie było wprawdzie w Kanadzie tak drażliwych dowodów „bojkotu” i nagonki, z którymi spotkałam się ze strony Kongresu Polonii w USA, niemniej jednak i tu miałam sposobność przekonać się na własnej skórze, jaki jest stosunek tej prasy do Polski. Taki np. „kwiatek”: pewna dziennikarka kanadyjska rozpoczyna wywiad ze mną od... podniesienia mego spódnicy. Zaskoczona pytam, co robi, a ona najspokojniej: — Chciałam sprawdzić, czy to prawda, że Polki nie mają co ubrać i są brudne? Tak przecież piszą tujsze polskie gazety.

— Naturalnie, że nie! W Ka-

nadzie jest mnóstwo Polaków — zarówno ze starej, jak i z nowej emigracji. Wielu z nich go raco tęskni do kraju. Wielu rozmyśla nad ewentualnym powrotem do Ojczyzny. Miałam o tym sposobność przekonać się m. in. w rodzinie pewnego drobnego kupca ottawskiego, wśród której spędziłam kilka godzin, zaproszona na małe przyjęcie. Przed wojną wyemigrował on do Ameryki, dziś dyskutuje ze znajomymi na temat: wracać, czy nie wracać? Głównym argumentem za powrotem jest córeczka gospodarza ucząca się gry na skrzypcach, która marzy o dalszej nauce w nieznannej Ojczyźnie. Naturalnie rozmawiano z nami przede wszystkim — o Polsce.

— A spotkania z artystami?

— Były, i to bardzo sympatyczne. Poznałam np. na przyjęciu urządzonym po koncercie w Montrealu młodego pianistę włoskiego, który zdobył już sobie nazwisko w całym świecie — Ciccoliniego, laureata konkursu Margerity Long. Ma on w swoim repertuarze również Chopina — był bardzo łaskawy w ocenie mojej interpretacji polskiego kompozytora. Nadzwyczaj mile było spotkanie w Toronto z Aleksandrem Unińskim, zwycięzcą II Konkursu Chopinowskiego. Ten Rosjanin z pochodzenia, gdy brał przed wojną udział w Konkursie Chopinowskim, był obywatelem francuskim. Po wojnie wyjechał do Ameryki. Mieszka obecnie w Nowym Jorku, a do Toronto dojeżdża na lekcje w konserwatorium. Prócz tego przemierza cały świat z koncertami. Właśnie wrócił z Kuby, a za kilka dni wyruszy miał na występy do Amsterdamu. Chętnie odwiedziłby Polskę. Warto by się o to postarać!

Inna, bardzo ciekawa znajomość, to poznanie w Vancouver profesora katedry języków słowiańskich, Sobola. To po prostu geniusz językowy. Jakimkolwiek językiem zacznieś z nim rozmowę, prof. Sobol kontynuuje ją, jakby prowadzona była w jego języku ojczystym. Z nami mówił doskonale po polsku. Nie tylko sympatyczny, ale i rozumny to człowiek. „Pod względem politycznym jestem waszym przeciwnikiem, mówił nam — ale w pełni doceniam i uznaję wspaniałe osiągnięcia waszej Ojczyzny, m. in. także w dziedzinie kultury i dlatego witam Was całym sercem”.

Takie było nastawienie do nas większości społeczeństwa kanadyjskiego. Dlatego czuliśmy się tam doskonale i z zalem żegnaliśmy ten piękny kraj. Kojarzyliśmy go zawsze z określeniem „Kanada pachnąca żywicą”. Poznaliśmy go jako — rozbrzmiewającą Chopinem.

Rozmowę przeprowadziła Krystyna ZBIJEWSKA

Poeci KPP

Napisał: ANATOL STERN

Bruno Jasieński

Już przed wojną, w r. 1936, pisał o Jasieńskim Kazimierz Czachowski: „Obraz współczesnej literatury polskiej”:

„Słowo o Jakubie Szeli” jest jednym ze sztandarowych utworów lewicowego frontu chłopskiego.

Ignacy Fik w swej również przed wojną wydanej (1939 r.) pracy „Dwadzieścia lat literatury polskiej” (wkrótce po wydaniu skonfiskowanej) stwierdza:

„Jasieńskiemu przypada w udziale inicjatywa tworzenia literatury o charakterze klasowo-chłopskim.”

Słowa te świadczą, jak wielką rolę odegrał Jasieński w kształtowaniu naszej świadomości społecznej.

Nie dziw, że drogie jest nam wszystko, co wiąże się ze wspomnieniem o twórcy „Słowa o Jakubie Szeli”, „Pieśni o głodzie”, powieści „Pałę Parzy” i „Człowiek zmienia skórę” oraz wielu innych niezapomnianych utworów.

Już paru poetów grupy „Skamandra”, rozpoczynając w roku 1918 występy poetyckie w kawiarni „Pikador”, ogłosiło manifest, w którym na wpół serio, a na wpół żartem proponowano, aby znieść teatry stołeczne, jako uosobienie nudy i złego smaku. Przy tej sposobności grupa ta zaproponowała wiele rzeczy równie niewykonalnych, a jednak pozytywnych, których sobie już dobrze nie przypominam.

Futuryzm polski, pod którego sztandarem wystąpił w pierwszym okresie swej twórczości Jasieński, pragnął zmieścić w powierzchni ziemi coś nierównie ważniejszego: ideały burżuazyjnego apoteoza martwoty, szablonu, schematyzmu, kompromisu.

Gdyśmy rozpoczynali swą walkę z uzbrojonym po zęby mieszczaństwem, byliśmy garścią młodych ludzi, którzy mieli przeciwko sobie wszystko: estetykę, dotychczasową opinię publiczną, przede wszystkim zaś cenzurę, która dość systematycznie konfiskowała wydawane przez nas publikacje. Nic dziwnego — zawierali one utwory antymilitarystyczne i antyklerykalne. Pozostawał jedyny środek przemawiania do świata — przy pomocy żywego słowa. Wów-

czas to właśnie, spotkawszy się po raz pierwszy z Jasieńskim w r. 1921, zaczęliśmy objeżdżać Polskę w wieczorami poetyckimi. Było to więc coś w rodzaju dzisiejszych spotkań z czytelnikami, z tą tylko różnicą, że byli to przyszli czytelnicy i że spotkania z nimi miały charakter zupełnie odmienny niż obecne.

W „Pieśni o głodzie” Jasieński zanotował przebieg jednego z tych spotkań:

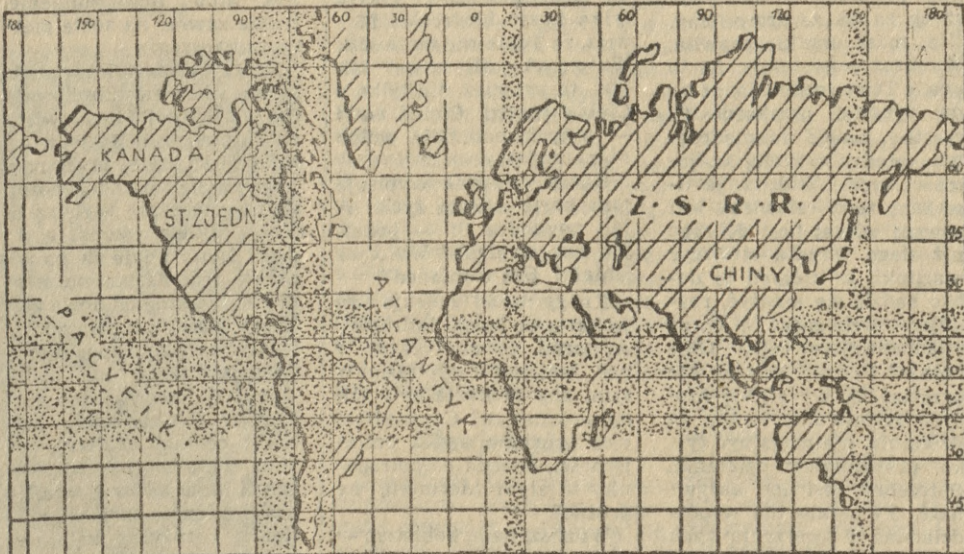
*...w oświetlonej sali Tow.
Higienicznego
historycznej studentki i
gawiedzi
oklaskują ziewającą estradę...
... twarze krwią im zachwytu
nabiegły
nalane,
czekajcie, twarze te skądś
znam!*

*To tłum, ten sam,
który we mnie w Zakopanem
rozjuszony w bezbronnego
cisnął jajka i cegły.*

Byłem jednym z towarzyszyów poety na tym wieczorze. Wraz z nami występowali Tytus Czyżewski, Aleksander Wat, Stanisław Ignacy Witkiewicz. Cegły, o których pisał Jasieński, nie są poetycką przenośnią, ani tworem wyobraźni. To jeden z ówczesnych poetów, trubadur Piłsudskiego, sprowadził na występ bojówkę chuliganów, (m. in. „bogo-ojczyznian” młodzi), którzy częściami zdemolowali lokal i obrzucili cegłami występujących poetów. Sygnałem do ich „wstępu” był słynny „Marsz” Jasieńskiego — wiersz przede wszystkim antymilitarystyczny.

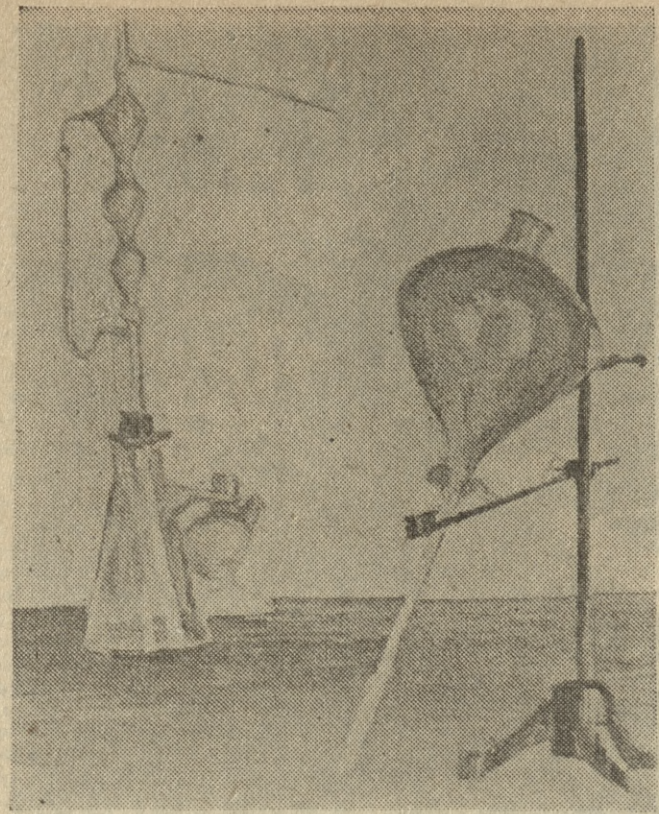
Nie zawsze jednak tak było. Już wieczór łośdzki spotkał się ze zdecydowanie gorącym, afirmatywnym stosunkiem ze strony słuchaczy, rekrutujących się głównie spośród robotników. Podobnie też wieczór w Lublinie zmienił się w prawdziwy triumf występujących na nim poetów. Dziś sądzę, że nie mało musieli przyczynić się do tego nestorzy piśmarni lubelskich, Konrad Bielski i Kazimierz Andrzej Jaworski, którym po 35 niemal latach składam niniejszym serdeczne podziękowanie.

Jeśli jednak owa niełatwa poezja, poszukująca całkowicie nowych form wypowiedzi,



Na mapie świata zaznaczono kreskami podłużnymi kraje biorące udział w Roku Geofizycznym. Pasy podłużne oznaczają badania nad długościami geograficznymi — poziomo, tereny objęte międzynarodowymi badaniami geofizycznymi.

(Ciąg dalszy na str. 2)



„Szkło laboratoryjne” — Irena Psarska (olej)

Opracowuje ją 173 uczonych polskich

Nauka polska da wkrótce krajowi cenne wydawnictwo z zakresu słowianoznawstwa, jakiego nie posiada dotychczas żaden naród słowiański. 173 naukowców polskich pracuje od blisko 5 lat nad opracowaniem słownika starożytności słowiańskiej, który ujmować będzie całokształt wiedzy współczesnej o kulturze słowiańskiej z czasów najdawniejszych i w pierwszych wiekach jej rozwoju historycznego, mniej więcej do 1200 roku.

Myśl wydania takiego słownika powstała już przed wojną. W przygotowaniu był nawet zeszyt próbny. Okupacja zniweczyła materiały zgromadzone. Po wyzwoleniu kraju, profesorowie: P. Lehr-Spławiński i Zygmunt Wojciechowski podjęli przedwojenną inicjatywę naukowców polskich i od roku 1950 rozpoczęli prace przygotowawcze, których uwieńczeniem jest obecnie opracowany Zeszyt próbny. Ukazuje się on w bieżącym roku.

Redakcja słownika starożytności słowiańskiej mieści się w Poznaniu w Instytucie Zachodnim. Sekretarzem naukowym jest prof. dr Władysław Kowalenko. Ze wstępnego słowa zeszytu próbnego dowiadujemy się, że słownik „ma na celu nie

bezpośrednie posuwanie naprzód badań słowistycznych, ale ułatwienie i skoordynowanie pracy badaczy kultury Słowian we wszystkich jej dziedzinach i przejawach”. Redakcja pozostaje w kontaktach z naukowcami czeskimi i jugosłowiańskimi i czerpie z bogatych materiałów radzieckich.

Jak informuje nas prof. dr Władysław Kowalenko, prace nad słownikiem w 50 proc. są już zakończone. Zgromadzone materiały w ilości ponad 54 proc. zaplanowanego limitu, mają duże znaczenie naukowe, a ze względu na podaną najważniejszą literaturę i źródła, mogą stać się punktem wyjścia dla badań naukowych z zakresu słowianoznawstwa.

Na Zeszyt próbny złożyło się 137 artykułów, opracowanych przez 74 autorów. Artykuły te obejmują antropologię, archeologię, etnografię, historię, językoznawstwo, piśmiennictwo, prawo, sztukę, wierzenia oraz sprawy społeczne i gospodarcze. Jest to wielka zbiornica całokształtu wiedzy współczesnej z różnych dziedzin i krajów słowiańskich o ich kulturze.

Początkowo słownik pomyślany był jako podręcznik dla interesujących się zagadnieniami słowiańskimi, w objętości 2 tomów po 600 stron każdy. W miarę jednak gromadzenia materiału, okazało się, że nie można włożyć w nakreślone ramy wielu artykułów i że skrócone nie dabyły należytego pojęcia o przedmiocie. Słownik starożytności słowiańskiej ukaże się więc w trzech tomach.

Naukowcy polscy, którzy zapoznali się z treścią Zeszytu próbnego, wypowiedzieli się o inicjatywie na ogół pozytywnie. Prof. dr Tymieniecki w wypowiedzi swej pisze, że „inicjatywa wydania słownika była trafna, jak i jego wykonanie, i praca ta, w całości biorąc, stoi na wysokim poziomie i zapowiada dzieło o trwałym i doniosłym znaczeniu. Przegląd problemów nie będzie bez znaczenia dla dalszego

rozwoju nauki”. Prof. Kuraskiewicz wypowiada mniej więcej podobny pogląd. Według niego Zeszyt próbny, mimo pewnych braków, „ma wysoką wartość naukową i dydaktyczną”. Bardzo cenne są uwagi, poczynione na marginesie Zeszytu próbnego przez profesorów: Szczanieckiego i Labudę. Uwagi ich są obecnie studiowane przez redakcję słownika, celem usunięcia pewnych niedociągnięć metodologicznych. Z ramienia Polskiej Akademii Nauk, prof. Gieysztor, po zapoznaniu się z treścią Zeszytu próbego, zaznaczył, iż pomimo, że wyraża on jeszcze wkladu pracy redakcyjnej, „w pełni pozostaje pozytywna ocena inicjatywy, prawie bezprzykładnego rozmachu i konsekwencji wykonawczej”.

Tak więc, słownik starożytności słowiańskiej, po uzupełnieniu, do konanych według wskazówek naszych naukowców, wzbogaci wiedzę naszą o słowiańszczyznę. Kraj otrzyma jedną tego rodzaju encyklopedię w świecie słowiańskim.

H. BARAŃSKI

Muzeum Rumuńsko-Rosyjskie

5 lat temu w stolicy Rumuńskiej Republiki Ludowej otwarto nowe muzeum: Muzeum Rumuńsko-Rosyjskie. Stanowi ono wielkie osiągnięcie naukowe. Muzeum przedstawi w formie dokumentacji ilustrowanej rozwój narodu rumuńskiego na przestrzeni wieków — w ścisłym powiązaniu z narodami Związku Radzieckiego. Dokumenty muzeum pokazują te więzy w prawdziwym świetle, dawniej były one ukrywane lub nawet zniekształcane przez niektórych historyków burżuazji rumuńskiej. Dokumenty te przyczyniają się do ustalenia prawdy historycznej i upowszechnienia jej wśród szerokich mas.

Od świadectwa wspólnoty cywilizacji między narodami, które miały miejsce na terytorium Rumuńskiej Republiki Ludowej i Związku Radzieckiego jeszcze przed sformowaniem się narodów rumuńskiego i rosyjskiego, aż do wymownych dokumentów, mówiących o braterskiej i wszechstronnej pomocy, którą naród rumuński otrzymał i otrzymuje od Związku Radzieckiego — zwiedzający muzeum mają możliwość śledzenia, krok za krokiem, więzy jednoczącej obydwa narody.

Za swoje znaczenie, za organizację i aktywność i za wkład, wniesiony przez muzeum do wychowania mas w duchu głębokich idei pokoju i postępu całej ludzkości, Walne Zgromadzenie Akademii Rumuńskiej Republiki Ludowej postanowiło 18 marca 1949 roku przyznać Muzeum Rumuńsko-Rosyjskiemu w Bukareszcie nagrodę nauk historycznych i filozoficznych imienia Nicolae Balcescu.

Od chwili otwarcia muzeum zwiedzane jest licznie przez ludzi pracy. Codziennie spotkać tu można uczniów, studentów, robotników, inteligencję, żołnierzy, gospodynie, którzy przychodzą często grupami. Muzeum zwiedzane jest nie tylko przez bucharszczan, ale i przez gości z zagranicy. Często można tu spotkać przedstawicieli różnych państw. Czasami organizuje się wycieczki grupowe dla zwiedzania muzeum, a w złotej księdze w różnych obcych językach widnieją także podpisy delegacji zagranicznych, które zwiedziły ten zakątek kultury.

G. G.

Rozmaitości

Statystyka wydawnictw francuskich za rok ubiegły wykazuje 11.793 wydanych tytułów, w tym 10.253 dzieła autorów francuskich, 1.288 przekładów oraz 253 książki w językach innych. Przetłumaczone z języka polskiego książki zajmują na liście przekładów ósme kolejne miejsce.

*

Słynny, oswojony delfin, żyjący na wolności w zatoce Opononi (Nowa Zelandia) zdołał niedawno. Niezwykle inteligentny ssak morski pływał na grzbiecie, prowadził piłkę swoim nosem dookoła zatoki oraz skakał przez obcęże.

*

Ankieta przeprowadzona wśród kilkuset Angielok pozwala stwierdzić, że jedna na cztery używa pomadki do ust, jedna na pięć różu policki, a jedna na dwadzieścia kobiet podczernia oczy.

*

Miedzynarodowa wystawa wynalazków w Brukseli przyznała pierwszą nagrodę pewnemu Francuzowi za przyrząd do odświeżania powietrza, a drugą nagrodę pewnemu Włochowi za wynalezienie pistoletu do malowania, który wyrzuca barwniki w pięciu kolorach jednocześnie; o użytkowej wartości tego ostatniego wynalazku nie bliźszego nie wiadomo.

*

Światowa Organizacja Zdrowia zarejestrowała (na serio) szybkość poruszania się wszy; próby przeprowadzone na włosie ludzkim wykazały, że wesz-samiczka jest szybsza od samca i potrafi przebyć odcinek 20 cm w czasie 1 minuty 25 sekund.

*

Modlitwy telefonowane są ostatnim szlagierem pewnych kościółów w Ameryce. Jeden z duchownych nowojorskich kazał sobie nagrać szereg modlitw na taśmę magnetofońową, którą nadaje wszystkim „wiernym”, zgłaszającym się o pociechę duchową.

*

Profesor Fahr z instambulskiego uniwersytetu odkrył podczas swego pobytu w Lahore (Indie) bezcenny manuskrypt poety tureckiego Fazlî; jest nim pierwszy słownik turecko-perski.

Bruno Jasiński

(Ciąg dalszy ze str. 1)

trafiła do słuchacza i porywała go, to w dużej mierze należy to przypisać również i znakomitym aktorom i reżyterom, którzy mu ją przekazywali. Mówili utwory: Jacek (entuzjastyczny wielebiciel poezji Jasińskiego), Irena Solska, Maria Billizanka, Mariusz Maszyński i przede wszystkim legion młodych aktorów oraz amatorów — głównie rekrutujących się spośród studentów.

W owym pierwszym okresie szczególnie burzliwie i gorąco przyjmowała zawsze publiczność wspomniany już „Marsz” Jasińskiego, jego „Marsyliankę” oraz szereg fragmentów z „Pieśni o głodzie” — szczególnie prolog, i „Pieśń maszynistów”.

Poczynając od 1926 roku — na ustach wszystkich jest „Słowo o Jakubie Szeli”. Potępione przez oficjalną opinię, jako „niegodna z rzeczywistością próba rehabilitacji sprawy i inicjatora rzezi galicyjskiej” — przebiegała sobie drogą do najszerszych rzesz czytelników i świadczy o prawdziwie wcześniej jeszcze nim uczyniła to poezja — historia.

W dwa lata później powieść „Pałę Paryż” wstrząsnęła czytelnikami niemal całego świata, a po kilku latach znów powieść „Człowiek zmieni skórę” stała się jedną z najpopularniejszych książek w Związku Radzieckim.

Po wyjeździe Jasińskiego z Paryża do ZSRR korespondencja pomiędzy nami ustala. Nie łatwo było porozumieć się poprzez zasięki z drutu, wniesione przez rząd sanacyjny pomiędzy Polską a Związkiem Radzieckim. Ale czytając książki Jasińskiego, przypominam sobie nieraz dzieje owych pierwszych wspólnych marzeń, pierwszych burzliwych dyskusji i planów, których odległe ślady napotykałem w utworach wielkiego poety rewolucyjnego.

Myślę, że zebranie wspomnień, dotyczących życia i twórczości Jasińskiego w Polsce, jest we wszech miar wskazane. Postać twórcy „Słowa o Jakubie Szeli” powinna być jak najplastyczniej ukazana naszym czytelnikowi — jest to naszym obowiązkiem wobec wielkiego poety — wobec poezji, wobec prawdziwej historii.

Anatol STERN

KRYZYS WŚRÓD MŁODZIEŻY BRYTYJSKIEJ

Londyn, w marcu

Korespondencja z Anglii
DERKA KARTUNA

Brytyjska opinia publiczna poruszona jest ostatnimi informacjami na temat sytuacji panującej wśród młodzieży. W ciągu ubiegłych kilku miesięcy ogłoszone zostały na ten temat trzy szczegółowe i wyczerpujące sprawozdania.

Fakty ujawnione w tych publikacjach są wręcz alarmujące. Stwierdzono, iż w ciągu ostatnich ośmiu lat ilość napadów bandyckich i przestępstw na tle seksualnym wzrosła dwukrotnie wśród młodzieży od lat 17 do 20. Ilość wypadków pijanstwa w tym samym okresie potroiła się. Rada Badań Gospodarczych podaje te cyfry, wskazuje jednocześnie, że „stanowią one raczej oskarżenie dla społeczeństwa, a nie dla samej młodzieży”.

Jeden z dzienników londyńskich zainteresował się bliżej sprawą angielskich bikiniarzy, zwanych tam „teddy boys”, wyróżniających się swoim sposobem ubierania, nadsładowującym modę męską z czasów Edwarda VII. Pismo stwierdza, że wśród młodzieży tej nie tylko zdarzają się częste wypadki drobnych przestępstw i nadużyć, lecz że wiele klubów młodzieżowych w uboższych dzielnicach Londynu pozostaje pod terrorem tych chuliganów. Noszą oni przy sobie noże, zaczepiają bez broniących przechodniów i biją ich, wywierając zły wpływ na dorastającą młodzież. Nie mówi się jeszcze o tym, iż te grupy py bikiniarskie stanowią duży odsetek młodzieży brytyjskiej, lecz niepokojący jest fakt, że podobnie jak w Stanach Zjednoczonych, ilość wybrzków chuligańskich wśród niej stale wzrasta.

Najbardziej jednak wstrząsające fakty ujawnione zostały w wyżej wspomnianych sprawozdaniach w chwili, gdy autorzy ich zaczęli szukać przyczyn istniejącego stanu rzeczy i próbowali odnaleźć drogi uzdrowienia sytuacji. Jeden z autorów przypisuje bez ogródek główną odpowiedzialność za wzrost przestępczości młodzieży — prasie.

„Główny nacisk w prasie — pisze on — kładzie się na sprawy zbrodni, gwałtu, przestępstw seksualnych, hazardu i morderstw. Szczegółowe opisy wyszukanych przestępstw kryminalnych drukowane są na pierwszych stronach pism i opatrzone sensacyjnymi nagłówkami, podczas gdy wiadomości o ogólnonarodowym i międzynarodowym znaczeniu streszczane są w kilku wierszach na dalszych szpaltach gazety.”

Zdaniem autorów, winien jest również system wycho-

wawczy. Domagają się oni zwiększenia ilości szkół w uboższych okręgach, ilości boisk sportowych i basenów pływackich, zmniejszenia ilości dzieci w poszczególnych klasach, a wreszcie lepszego przygotowania pedagogicznego nauczycieli.

Z liczb podawanych w sprawozdaniach wynika, że trzy czwarte młodych chłopców i dziewcząt zaczyna pracować zarobkowo w wieku lat 15, przerywając wówczas dalszą naukę. Tylko jeden na trzech młodych chłopców uczy się rzemiosła, a jeśli idzie o młode dziewczęta, to zaledwie 8 na 100. Tylko 12 procent chłopców i zaledwie 2 procent pracujących dziewcząt może uzyskać w pracy warunki, zezwalające im na naukę wieczorną.

Sprawozdanie krytykuje pracodawców za „brak zrozumienia i niezachęcanie zatrudnionej u nich młodzieży do dalszej nauki”. Zwraca uwagę na zjawisko stałych zmian pracy przez tysiące młodych ludzi, rozpaczliwie poszukujących posad, które mogą zapewnić im przyszłość i dać perspektywę zdobycia zawodu.

W końcu raport podkreśla palącą konieczność dostarczenia młodzieży lepszej opieki, pisząc, iż „zdaniem naszym, zasadniczym powodem braku opieki nad młodzieżą jest brak pieniędzy na ten cel”.

Opinia ta jest jak najbardziej prawdziwa, zwłaszcza jeśli chodzi o kluby młodzieżowe i opiekę, organizowaną przez związki zawodowe i organizacje labourystowskie. Działalność Labour Party wśród młodzieży zanikła niemal zupełnie, a związki zawodowe też nie robią w tej dziedzinie. Jedynie Brytyjska Partia Komunistyczna interesuje się bardzo poważnie sprawą młodzieży i zamierza postawić zagadnienie młodzieży jako jeden z zasadniczych punktów programu obrad na zbliżającym się zjeździe partii. Ponadto partia czyni poważne wysiłki w celu powiększenia zastępów Ligi Młodych Komunistów (młodzieżowej organizacji partyjnej).

Niedawno organ Labour Party, „Daily Herald”, zamieścił artykuł ze „szczerymi” wypowiedziami na temat młodzieży. Mówiąc bez ogródek, młodzież przestała wierzyć we wszystko. Jest ona cyniczna, rozczarowana... Chciałaby wierzyć, lecz nie wie sama w co — konkludował dziennik.

Ta niesłychanie surowa ocena młodzieży brytyjskiej wydaje się niesłuszna. Warto zastanowić się nad tym, po czyjej stronie leży wina. Chyba nie tylko po stronie młodzieży.

Opowiadki chyba prawdziwe * Dwie rozmowy * Napisał: H. JANTOS

Dawno już myślałam o tym, aby porozmawiać z Tobą. Po co? Chcę naprawić błąd, jaki popełniłam udając, że Cię nie widzę, uchylając się od odpowiedzialności za to co spostrzegam, co obok mnie się dzieje. Nie wolno usypiać własnego sumienia. Można by chyba mieć pretensje do nas, starszych za to, że drzemniemy. Nie masz matki, prawda. Wyobraź więc sobie, że to ona z Tobą rozmawia, że ona pragnie przekazać Ci cząstkę swego doświadczenia, wiedzy o życiu, znajomości ludzi. Widzisz, ja uważam, że w człowieku jest zawsze więcej tego dobrego niż złego. Trzeba stworzyć warunki, w których to dobro będzie się mnożyć, rozwijać, wzbogacać o coraz szlachetniejsze cechy. Ofoczenie? Pewnie, że tak. Ale przecież ci, w stronę których zostaje skierowane to działanie, nie mogą być tylko przedmiotem działania. Potrzebna jest ich aktywność. Ty wcale nie współdziałałaś w tworzeniu tych warunków. Nie przerywaj mi. Lubisz eksperymenty,

lubujesz się w niebezpiecznej grze wystawiania samej siebie i innych na próby. Pewnie, że są tacy, co wychodzą z nich mocniejsi, twardzi, ostrożniejsi, ale inni schodzą z placu zranieni, okaleczeni. Kuleją później bardzo długo. I trudno im przychodzi na powrót odnaleźć się. Ty jesteś mocna. Ty chcesz tylko hasać bez troski. Mówisz, że Tobie nie zaszkodzi. Wątpię. A jeśli nawet tak jest, to przecież nie tylko o Ciebie chodzi, Ciebie bawi — innych boli. Nie wolno niepotrzebnie ranić!

Każdy człowiek wypisuje sam kartę swego życia. A jak powiedzą Ci — pokaż, jak ona wygląda? Wyłożysz śmiało? Bez rumieńca? Każdy naród wpisuje swoją kartę do księgi ludzkości. A naród, to my. Każdy z nas. Jaki jest Twój udział w tym, aby ta karta była jak najpiękniejsza? Czyniętrwoniż skarbów myśli, umiejętności, energii niepotrzebnie, w złym kierunku, na próżno?

Widzisz, nam, kobietom — moim zdaniem — powierzyla natura wielkie zadanie.

Mamy kochać... i uczyć kochać. My to umiemy. Nie wolno nam nie wykorzystywać tych umiejętności, ale nie wolno też rozmięniać jej na drobne — bo wtedy srebro zamieni się w miedziaki. Nie wolno nam czynić z niej sztyderstwa, karykatury, sportu. Nadużywamy, nieświeżymy na sobie piętno zaprzeczenia.

Które z drobnych czy większych kłamstw kosztowało Cię najwięcej? Podpowiem ci. To pierwsze! Następne pi gułki już łatwiej przelknąć. Przylek się rozciąga. Można się przyzwyczaić. Wybac, że zrobię takie porównanie: zło dziei, który udaje się na wyprawę, mówi sobie: no, ostatni raz i zaczne od nowa żyć. Kiedy wróci z łupem zdrów i cały, szybko zapomina o swym przyrzeczeniu.

Spróbuj jeszcze jedno zrozumieć. Postępowanie jednostki ocenia i analizuje zawsze mniejszy lub większy zespół ludzi o różnej wrażliwości, różnym sposobie myślenia, z różnego kąta patrzący na życie. W sumie jednak widzą goły fakt i z jed-

nego lub z ich zespołu wyciągają wnioski. Przecież w ten sposób między innymi buduje się opinie o ludziach. Kto ja buduje? Środowisko? Nie, ono tylko ustawia i skleja te cegiełki, które Ty podsuwasz.

A przecież Ty kochasz swego męża i swoje dziecko!

2.

— Więc idziemy! Wdechowa zabawa się szykuje.

— No tak, ale ja nie mam z kim...

— Szal! Już ja ci znajdę. Mówię ci, babka, że buzi dać. Najpierw zawsze jest sztywna, ale później, jak się rozkrochmal...

— Kto to jest?

— To nie ważne — kto. Babka! Mężatka, ale to nie przeszkadza. Nawet lepiej, bo doświadczona. A jak się przytula! Ech!!!

— Dobra, dobra, niech będzie. Dam sobie radę.

Są ludzie, którzy sami się nie szanują, a żądają szacunku.

KUMATEK SIWRO PO OCHEŚNICKU

czyli coś niecoś o tak zwanej „mowie obraźnikowej“

Napisał ZYGMUNT PECHERSKI

Czy wiecie, drodzy Czytelnicy, że w naszym województwie żyje około 3000 ludzi, którzy mówią własnym językiem, niezrozumiałym dla otoczenia? Na pewno nie! Aby posłuchać mowy obraźnikowej należy udać się do Ślesina lub Skulska w powiecie konińskim; można także znaleźć jeszcze kilkadziesiąt osób, które ten język znają, w Starym Krotoszynie.

Język ten powstał co najmniej 200 lat temu. Jest to język sztuczny. Znajdziemy w nim wyrazy pochodzenia pol-

goś świętego. Inne natomiast szły od ręki. Zdenerwowany przechodząc przez las wyciągał portret i zbił go kijem, zapowiadając świętemu, że codziennie teraz dostawać będzie łanie. Święty najwidoczniej się przeląkł, bo w następnej wsi obraz zaraz został kupiony.

Obrażnicy wykorzystywali przesady chłopów. Jeden z nich wszedł do chałupy wiejskiej, kiedy gospodyni wkła-

palcami zaznaczali od razu na wszystkich polach miejsca oczu, nosa i ust. Palec wskazyjący i średni wyznaczały oczy, podwinęty kciuk i serdeczny odciskały miejsce ust i nosa. Potem brał obraźnik farbę niebieską i malował od razu na wszystkich polach oczy, następnie czerwoną farbę i malował wszystkie usta itd.

Slesinianie wyspecjalizowali się w XIX wieku w skupie gest. Przy tym handlu okazał się bardzo przydatny język, którego nie znali kontrahenci. Dziś w Ślesinie każdy mieszkaniec mówi biegle po obraźniku, mimo że handel gestami już ustał.

Obrażnicy mówią szybko i nosowo, co zwiększa jeszcze niezrozumiałość języka. Oryginalna jest forma gramatyczna. Istnieje tu tylko jedna osoba i to trzecia. Tak więc „ja siedem do miasta“ Ślesiniak mówi: „Manki knała do kielca“. Ślesiniacy tworzą zamkniętą grupę i niechętnie zdradzają obcom znajomość własnego języka. Piszącemu te słowa udało się zebrać słownik złożony z 400 wyrazów. Pozwala to na porozumienie się w sprawach codziennych. Szereg wyrazów będzie nam zrozumiałych. Znamy je jako język „chwaliszewski“ lub język Wiecha. Np. Troić znaczy jeść. Lecz obraźnicy mają całą rodzinę słów. Tak więc trojana oznacza jedzenie, truja — usta. Dzięki Wiechowi wiemy wszyscy, że kimać znaczy oczywiście spać. Lecz ślesiniak wie, że kimać to łożko, kinka to noc itd. Teraz należy napisać kilka słów po obraźniku, czyli „grypsa“ w kminie ocheśnickiej.

Manki stykło się w posym kielcu. Kumatek siwro po ocheśnicku. W Ślesinie wsiackie skicioki siwroja co manki bitu grypsa. Manki przyjałolił do Ślesina. Bitu stykło się chrystela. W opulniku miero pętki. Kira pose hopki stykło. U kapelnika manki wykirzył konturek wołówka i trynia kontucheliki kiry, wtroił klawośną trojanę. Zadułił manki ganca i lipuje na klawośne karyżki. Sztutro stykło się tryniówka w kapeli. Manki przepuli siwroki i za hopki opuli kieretę i kaniotę.

Znaczy to: Ja mieszkam w dużym mieście. Trochę rozumiem po obraźniku. W Ślesinie wszyscy (chłopcy) rozumieją, co ja tu piszę. Ja przyjechałem do Ślesina. W sklepie mało klebasy. Jest chleb i wódka. Wódka kosztuje

drogo (duże pieniądze). U karczmarza wypilem szklankę piwa i trzy kieliszki wódki, zjadłem dobre jedzenie. Zapaliłem papierosa i patrzę na ładne panny. Jutro będzie zabawa w gospodzie. Sprzedam ziemniaki i kupię sobie płaszcz i czapkę.

Czy nie warto się zainteresować bliżej tym niecodziennym zjawiskiem, pachnącym egzotyką. Okolice Ślesina są bardzo malownicze. Piękne tu jeziora i lasy. Zapraszamy więc na letnisko do Ślesina, aby tam nauczyć się „kminy ocheśnickiej“.



„Święte kwiaty“ — A. Matuszewski (olej)

Ziemia drży w Alabama

proponowały Murzynce odbyć u siebie studiów.

TAK ZWANY „WOLNY ŚWIAT“

Rząd Eisenhowera znalazł się w przykrym położeniu. Tym więcej, że zarządzenia, zmierzające do uchylenia segregacji rasowej w szkołach, spotkały się w stanach południowych z mobilizacją wielkich latyfundi- stów, którzy zaczęli podburzać męty społeczne wśród białych. Jednocześnie ożywiły swą działalność „rady obywatelskie obrony segregacji rasowej“, które na południu od dawna patrolują bezprawiu, pragnąc 16-

milionową ludność murzyńską utrzymać w stanie półniewolnictwa. Właśnie w lutym wydarzyły się dwa nowe wypadki sądu Lyncha nad Murzynami: w jednym wypadku pewien pracodawca zastrzelił w Raleigh (stan Mississippi) swego czarnego robotnika, który zwrócił się do niego z prośbą o zaliczkę w związku z chorobą dziecka, a w drugim wypadku pewien kamienicznik w Columbus (stan Georgia) śmiertelnie postrzelił bez żadnego powodu lekarza Murzyna. Władze prokuratorskie tradycyjnym już zwyczajem nabrały i tym razem wody do ust.

BOJKOT

NA ZNAK PROTESTU

Tymczasem w południowej części stanu Alabama w mieście Montgomery 60 tysięcy Murzynów na znak protestu przeciwko segregacji rasowej przystąpiło do bojkotowania publicznych środków komunikacyjnych. Natychmiast dokonano masowych aresztowań, w tym szeregu duchownych murzyńskiego pochodzenia, znanych poza granicami USA. W uzasadnieniu tych represji władze sądowe powołały się na ustawę obowiązującą w Alabama, na mocy której „wszelki bojkot, bez słusznego powodu albo legalnego uzasadnienia, jest karany“.

Niezwykle zdyscyplinowany przebieg akcji Murzynów doprowadził koła rasistowskie do wściekłości; przede wszystkim jednak bojkot uderzył ich w punkt najczęściej nęralgiczny, w profity. Towarzystwa autobusowe były zmuszone wstrzymać ruch na wielu liniach a na pozostałych podwyższyć taryfy przejazdową. Przykład ten stał się niespodziewanym ostrzeżeniem dla cwych kół handlowych, które zwykle były powolnym i łatwym narzędziem w rękach rasistowskich podżegaczy.

FALA ROŚNIE

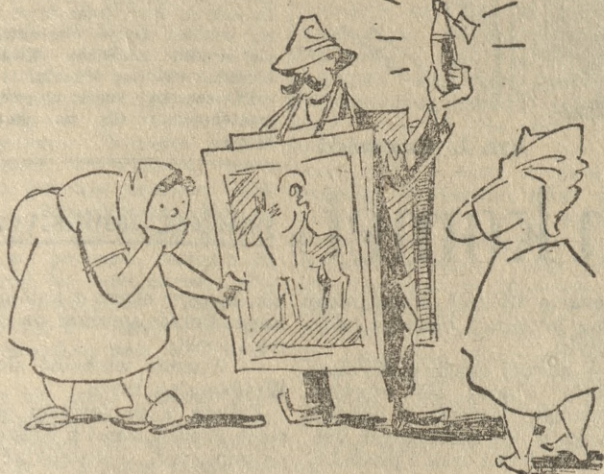
Do akcji włączyli się duchowni murzyńscy w Montgomery, oświadczając, że akcja powinna przybrać charakter zorganizowany i masowy. W Nowym Jorku poparli ich dalsi duchowni, którzy postanowili wezwać ludność murzyńskiego pochodzenia w 48 stanach, aby przystąpiła w marcu do strajku protestacyjnego przeciwko dyskryminacji rasowej. Z kolei dołączyli się duchowni w stanach Maryland i Washington. Telegram solidaryzujący się z wystąpieniem kół murzyńskich w Alabama nadesłał również zastępca sekretarza generalnego przy ONZ Bunche, pisząc w ten sposób: „Wiem, że pozostaniecie nieustępliwi i niewzruszeni bez względu na groźby i próby złamania Was za pomocą metod stosowanych przez państwo policyjne“.

Jak do tej pory, opinia amerykańska niezupełnie jeszcze zdaje sobie sprawę z ruchu, który zaczyna ogarniać 16-milionową ludność murzyńską w Stanach Zjednoczonych. Już dzisiaj jednak wielu dalekowzrocznych publicystów pisze, że akcja, zapoczątkowana w Alabama może się przenieść do stanów pozostałych.

Ziemia drży na południu Stanów Zjednoczonych. W Alabama, Mississippi, Luizjanie, Georgii, Południowej Karolinie oraz w innych stanach. Murzyni amerykańscy pragną wreszcie zrzucić z siebie niewolnicze pięta, biorąc przykład z jednego miliarda ludzi, którzy w ostatnich latach uzyskali wolność.

M. J.

Fr. HRYNIEWICZ



Rys. L. Kapeczyński

skiego, niemieckiego, rosyjskiego, a nawet ormiańskiego, greckiego i innych. Używali go producenci i handlarze obrazów o treści religijnej. Nazywali się oni z tej racji obraźnikami, a ich mowa obraźnikowa. Obrazy noszono po wsiach, a przy okazji sprzedawali cudowne krople, leczące wszystkie choroby, oraz udzielali (to już bezpłatnie!) błogosławieństw.

Współcześni mieszkańcy Skulska pamiętają dobrze tradycje swoich ojców, którzy jeszcze chodzili z obrazami. Opowiadają oni przygody obraźników. Oto niektóre.

Jeden z obraźników przez kilka sezonów nie mógł znaleźć nabywcy na obraz jakiegoś

dała chleb do pieca. Gdy od-mówiła kupna obrazu, obraźnik zagwizdał jakąś melodię, powiedział parę słów w swoim języku i poszedł. Kobieta biegła za nim długo i prosiła, aby wrócił, odgwiszał to, co powiedział. Zarazem kupiła i naturalnie odpowiednio przepłaciła obraz. Chleb tymczasem się całkowicie spalił.

W okresie, gdy oleodruki zaczęły się pojawiać masowo, obraźnicy zaczęli handlować oleodrukami. Pewnego razu gospodyni wyraziła zgodę na kupno obrazu świętego Marcina (tak było bowiem na imię nieobecnemu wówczas mężowi). Obrażnik pokazał pierwszy z brzegu obraz. Kobieta zaprzeczyła mu, twierdząc, że św. Marcin zawsze siedzi na koniu. Obrażnik sięgnął wtedy do oleodruków i sprzedał jej obraz Wilhelma I na koniu. Mąż, wróciwszy do domu, odczytał napis i pognał za obraźnikiem.

Obrazy mistrzowie ślesiniacy i skulscy produkowali metodą „taśmową“. Rozkładali sztukę płótna na ławie, dzielili na pola i składając odpowiednio cłoń, z umaczanymi w farbie

OKIENKO na ZACHÓD

KANT Z KSIĘCIEM KENTU

Niezwykle dumnym czuł się dyrektor największego kina w Antwerpii, gdy otrzymał telefon z ambasady brytyjskiej, że na przedstawieniu wieczornym będzie obecny książę Kentu. Wkrótce przed portal zajęchała czarna limuzyna ze znakami korpusu dyplomatycznego, a z jej wnętrza wysiadł „dostojny gość“, otoczony tłumem widzów, reporterów i fotografów. Gdy na drugi dzień zaczęto porównywać wywołane zdjęcia z podobiznami prawdziwego księcia, wyszła na jaw mistyfikacja. Ponieważ ambasada brytyjska nie mogła udzielić żadnego wyjaśnienia, sprawą zajęła się policja, lecz jak do tej pory bez wyniku.

ZNALAZŁ SIĘ JEDEN!

Doroczne sprawozdanie włoskich władz skarbowych za rok 1955 przynosi dane, które niewątpliwie dwie słynne artystki filmowe, Ginę Lollobrigidę oraz Zofię Loren przyprowadziły do białej głowy. Obie miały w składce zeznania o podatku dochodowym ukryły prawdziwe dane. Tak więc Lollobrigida na ogólną sumę dochodu 60 milionów lirów za deklarowała tylko 3 miliony a Loren zamiast 25 milionów podała władzom skarbowym tylko 8 milionów. W towarzystwie gwiazd filmowych znalazł się również przyboczny lekarz papieża Riccardo Galcazzi-Lisi, który ze swoich 15 milionów dochodu podał zaledwie 2,3 miliona. Słowem, rodzynkiem wśród gwiazd! (Jot)



„Chleb i narzędzia“ — B. Kurka (olej)



„Lajkonik“ — W. Twarowski (linoryt)

Największa w dziejach ludzkości współpraca naukowców całego świata

(Dokończenie ze str. 1)

graficzne, spektrofotometryczne i inne. Nie powtórzy się już niepokój, jaki wywołała gwałtowna erupcja Słońca 23 lutego br., którą część sensacyjnej prasy amerykańskiej wzięła za przedmiot fantastycznych nienaukowych przepowiedni o zbliżającym się rzekomo końcu świata. Znalazło to oddźwięk na giełdzie nowojorskiej, gdzie pod wpływem paniki chwilowo niektóre akcje zaczęły gwałtownie spadać (!).

Oceanografia

Pomiędzy państwami biorącymi udział w Roku Geofizycznym toczą się obecnie rozmowy w sprawie oddania do dyspozycji nauki pewnej liczby okrętów, które pełnić będą służbę na morzach i oceanach od 1 lipca 1957 r. do 31 grudnia 1958 r. Naukowcy na okrętach tych przeprowadzą badania prądów morskich, ich szybkości, zawartości soli itp. W szczególności przestudiowane będą granice, przebiegające pomiędzy prądami ciepłymi i zimnymi mórz, pomiędzy wodami polarnymi i wodami strefy umiarkowanej. Niezależnie od badań oceanograficznych, studiowane będą zadania zlecone związane z Rokiem Geofizycznym.

Glaciologia

Glaciologia jest obecnie samodzielnym odcinkiem geografii fizycznej, zajmującą się badaniem właściwości lodu i jego roli jako czynnika fizyko-geograficznego. W Roku Geofizycznym zadaniem glaciologów będzie zbadanie jak najdokładniejsze granicy wiecz-

nych lodów. W tym celu w Antarktydzie już obecnie prze-prowadzają badania ekspedycje naukowe kilku państw, a między innymi radziecka z za-łogą naukowców na statkach „Ob“ i „Lena“. Badania podobne dokonane będą również na Biegunie Północnym. Posiadają one duże znaczenie dla klimatologii i meteorologii.

Promienie kosmiczne

Po raz pierwszy w dziejach nauki uczeni opracowują standardowy wspólny program badań promieni kosmicznych dla wszystkich 180 stacji badań promieni kosmicznych. Główna uwaga zwrócona będzie na studia geomagnetyczne, astromagnetyczne i problematykę Słońca.

Ponieważ znajomość stratosfery jest jeszcze niedostateczna, nawiązane zostało porozumienie pomiędzy Związkiem Radzieckim, Stanami Zjednoczonymi i Francją w sprawie skonstruowania rakiet z aparatami mierniczymi. Rakiety zaopatrzone będą w instrumenty zbudowane według najnowszych zdobyczy technicznych.

Prasa we wszystkich krajach, które wezmą udział w Roku Geofizycznym przywiązuje wielką wagę do współpracy naukowej uczonych niezależnie od ustroju społecznego danego państwa nie tylko dla postępu wiedzy lecz również widzi w tym zbliżeniu wzajemnym pracowników nauki zapowiedź wymiany myśli i doświadczeń w innych dziedzinach życia społecznego i go spodarczego dla dobra całej ludzkości.

Fr. HRYNIEWICZ

ŻYCIE WEWNĘTRZNE DYREKTORA

Konrad Doberschütz

Dyrektor Furdyla jeszcze raz uspokaja siebie: tylko bez „nerwu”. Wszystko powinno pojsć gładko i... według planu. Oczywiście — jego. Ostatecznie ma za sobą zasługi. A kto uru- chomił IV oddział?

Przez mównicę przewijają się dyskutanci. Kaczmarek, Walasek, Pietruszka, Zimny. Rzeczywiście nie zawiodł się na nich. Porządne chłopcy! A



jak to ten Pietruszka powie- dział: „Takiego człowieka jak nasz dyrektor Furdyla nie było i nie będzie”. Pięknie powie- dział! A ten z centralnego zar-ządu musiał akurat wyjść przedtem. Nie mógł poczekać aż Pietruszka skończy? Też po- szanowanie dla oddolnej dysku- sji! Ale jest protokół. Pośle im w 6 odbitkach. Niech czytają. Z takimi ludźmi jak Pietruszka i Walasek — konie kraść.

W tej chwili na mównicę wchodzi młody inżynier Do- brzycki.

— Patrzcie, ten też? — dy- rektor robi niewyraźną minę, al- bowiem inżynier nie był w pla- nie. Młody to-to, a już się pcha. Może z krytyką, co? Śmieszny człowiek. A jak dziwnie chodzi. Jak kaczka. Co on się tak prze- chyla, jakby chciał całą salę polknąć. Ważniak. Nos jak marchew, a jak mu się śmiesz- nie uszy trzęsą, jak u osła...

Tymczasem młody inżynier mówi. Już pierwsze słowa wprawiają dyrektora w miłe rozczarowanie. Błogość powoli rozlewa się na szerokim obli- czu.

— Trzeba tu obiektywnie stwierdzić — mówi dyskutant — że przedstawienie produkcji obniżyło znacznie nasze koszty własne, a jest to głównie zasła- gą naszej dyrekcyi. Weźmy dla przykładu...

Dyrektor Furdyla uśmiecha się z zadowoleniem, a równo- cześnie spogląda za siebie. Ten z centralnego zarządu mógłby już wrócić. Co on tak długo tam robi? Teraz mu się za- chciało. Idiota. Ale patrzcie, taki Dobrzycki, niepozorne to- to, a... — tu wzrok dyrektora spoczywa na sylwetce inżyniera — właściwie to on wcale nie jest taki niepozorny. Nawet wręcz — przystojny. Twarz subtelna. Lewa brew drga mu

jak u arystokraty. Oczy — co za madre spojrzenie. Urodzony inteligent. Nos nawet jakby grecki, klasyczny. Zaraz, zaraz, u kogo ja taki nos widziałem, aha, u Pińskiego, tego z depar- tamentu kadr. Hela miała rację. Z takim nosem wysoko się zachodzi. Trochę niby świnią ten Piński. Przy czwartej bu- telce zaczął się do Heli przysu- wać, ale zawsze — szyska. Dobrzyckiego trzeba będzie a- wansować. Najpierw przesunie się go do narzędziowni...

— ... na tym odcinku, pro- szę kolegów, widać jedynie in- icjatywę dyrekcyi. I tutaj musi- my stwierdzić, że...

Do narzędziowni? Gdzie tam. Od razu do IV oddziału. Tam większa premia. Niech wie, że kto z dyrektorem, czyli jak to się mówi: jak Kuba Bogu.

Trzeba by go właściwie za- prosić raz do siebie. 22 Hela ma imieniny. Ze też człowiek przedtem nie zwrócił na niego uwagi. Taka wartościowa jed- nostka. Jutro każę mu pod- nieść współczynnik, że niby praca wyjątkowo odpowiedzial- na. Jak on mądrze mówi. Co za dykcyja. Urodzony prelegent. Ta- ki Rybarski z centralnego zar-ządu, to przy nim szczeniaki. Tu dyrektor urwał swoje my- śli. Oblicze wyrażające nie- biańską błogość pokryła chmu- ra.

— ... ale w tej sprawie mu- szę stwierdzić, że dyrekcyja nie nie zrobiła. Gorzej. Dyrektor nie raczył nawet się zaintereso- wać.

Patrzcie, patrzcie, co za ka- nalia. Co za niewdzięcznik. Ni- by o co mu chodzi, o ten głupi wypadek w introligatorni? Co za podstępna sztuka. Niby słod- ki, a tu ci naraz ten nóż w ple- cy.

— ... Wypadek Relińskiej powinien być dla dyrekcyi o- strzeżeniem. Nie wolno bagate- lizować uwag załogi. Ochrani- cze winny być założone przy każdej maszynie!

Tak, tak, naturalnie, ten o- siół z centralnego zarządu już wrócił. Teraz coś notuje. Nie mógł to sobie dłużej tam posie- dzieć? Może im jeszcze przesłać protokół? Guzik. Ale swoją drogą Kretyn z tego Dobrzy- kiego. Gorzej — świnią? Ja go do Heli, a on — nie, nie, takie- go typka na imieniny? Do IV oddziału? Do narzędziowni? Ta- ki smarkacz? Co za tępą twarz. Jakie głupie spojrzenie. Uro- dzony kretyn. Przechyla się jakby chciał mnie polknąć. A jak głupio mówi. Taki Rybar- ski z centralnego zarządu — to potrafi, a ten? Uszy to mu się ruszają jak u osła. Jak dziwnie drga mu lewa brew. Alkoholik. O, teraz schodzi. Bohater! Waż- niak! Kreatura! Nos jak mar- chew! A jak śmiesznie idzie. Jak kaczka!

BYŁY SOBIE ŚWINKI...

„REPORTAŻ” RYSUNKOWY „NA ŻY- WCA” W INSTYTUCIE ZOOTECHNIKI W PAWŁOWICACH, POWIAT LESZNO — HENRYKA DERWICHA



— Nie ma rady: twierdzi, że ma prawo do podwójnego koryta, a poza tym... nie zna arytmetyki.



Kazio Przychodźki przy pracy...



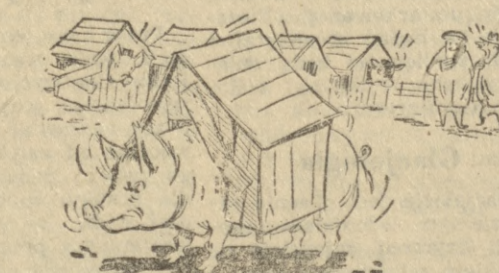
— Przydałoby się u nas w Poznaniu przy przejściu przez ulicę...



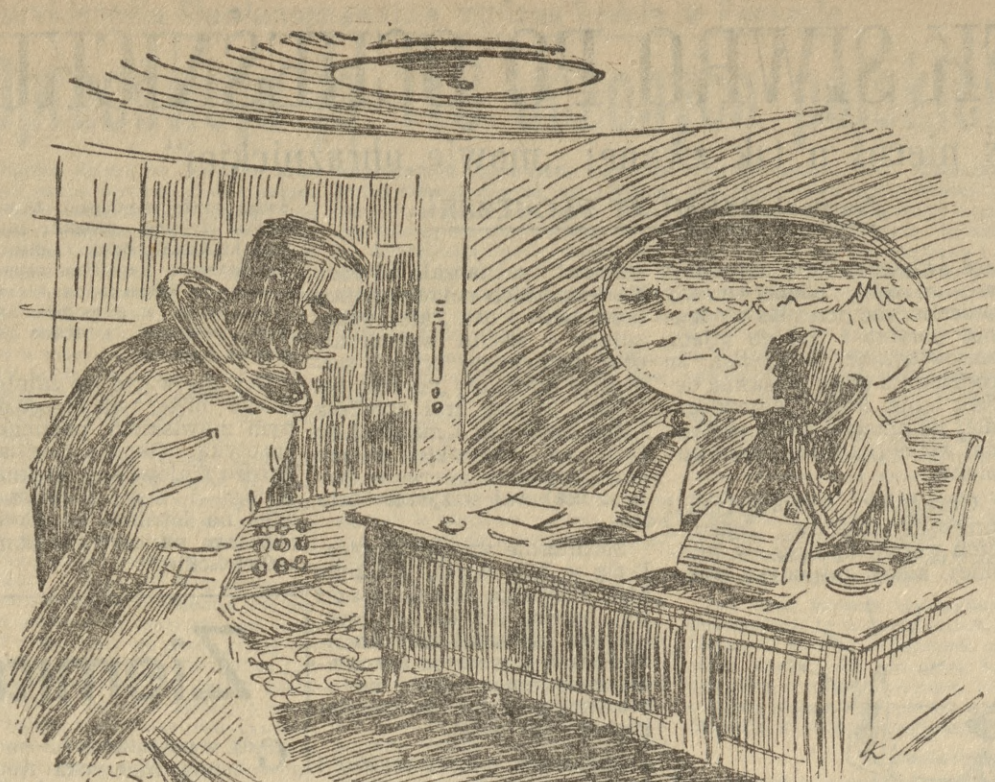
— Znowu kichnęła w korycie.



— Im dłuższa tym lepsza!!!



— Mówiłem, żeby do zimnego wychowu nie brać klatek od cieląt!...



Rys. L. Kapczyński

Eugeniusz Morski * Na szlakach komet * powieść fantastyczna

Wrażenia tworzyły chaos, wszystko szumiło i huczało wokół. Świat doznawany od strony akustycznej podrażniał ciekawość Bary i wprawił ją w gorączkowe podniecenie. Diagnoza lekarska wypadła pomyślnie, ale ratunek przy- szedł w ostatniej chwili. Jesz- cze dzień, dwa i dziewczynę groziła ślepotą. Bara płonęła z niecierpliwości. Lekarz obie- cał zdjąć opatrunkę, na razie z jednego oka. Nazajutrz miała ujrzeć nowych ludzi, zobaczyć cudowny statek, który w stu godzinach przeskoczył prze- strzeń, na pokonanie której ich stara rakietą zużyła przeszło trzy czwarte roku, i który te- raz stoi, pulsując życiem w tej śmiertelnej dolinie.

Wpół leżąc w leżaku dziewczyna na nie wypuszczała z rąk li- stów, pisanych drobnym pis- mem ojca — oczekiwała chwi- li, gdy sama będzie mogła po- chłonąć treść, która kilkakrot- nie przeczytał jej Dag Rossa. Tymczasem każda godzina przynosiła nowe relacje i wi- adomości, z którymi dziewczyna nie mogła się oswoić. Ligiński opowiadał historię ich urato- wania. Mówił chaotycznie, prze- skakując z tematu na temat. Widać było, że zamykał w zda- niach za obszerną treść.

Okazało się, że Dag Rossa miał rację. Na Ziemi wiedzia- no nie tylko o przyczynach a- warii, lecz podano nawet w przybliżeniu położenie geogra- ficzne miejsca, gdzie należało prowadzić poszukiwania. Dzię- czyna dowiedziała się, że nowa rakietą już od kilku dni kra- żyła nad wskazanym obszarem, prowadząc dokładne badania za pomocą radiolokacji. Fale

radaroskopów przebiły nieprze- niknioną dla oka piaszczyste o- bloki Wenus i ustaliły miejsce katastrofy jeszcze przed zasy- paniem rakiety. Względny o- strożności spowodowały jednak kilkudniową zwłokę, gdyż na- leżało ustalić źródła tajemni- czego promieniowania, aby u- niknąć wszelkich niespodzia- nek. Pecherzyki na szybie ilu- minatora, jak się okazało, były pośmiertną wydzieliną podziem- nego współplemięńca elektro- zaura. W korytarz wryty przez zwierzę zapadła się ra- kietą, przynajmniej jak swoim ciężarem. Automatyczny eks- kawator pokładowy z trudem przebił się przez galaretowate tkanki, które oblepiły cały sta- tek. Agonia potwora wywołała słyszane w rakiecie pulsacje. Kilku przybyłych z Ziemi bio- logów zakładało właśnie obóz, aby prowadzić badania zapo- czątkowane przez uratowa- nych.

W dolinie panował tymcza- sem ożywiony ruch. Wyładowy- wano ekwipunek i wyposażenie techniczne dla załóg pozostają- cych na planecie. A w centrum tej krzątanicy, jak olbrzymia fosforyzująca soczewka, leżał oświecony statek, nad którym obracały się dziwne telesko- py radiolokatorów sprzężone z aparaturą, wysyłającą z ogni- ska jonowego śmiercionośne promienie. Oslaniały one pra- cującą załogę niewidzialną, lecz nieprzeniknioną dla elektro- zaurów i latających lasów ko- puli. Wszędzie tempo wykony- wanych prac znamionowało po- śpiech.

Na pokładzie statku, w pra- cowniach fizycznych przyrod- nicy gorączkowo segregowali materiały dostarczone przez Dag Rossę i Rigo Watta. Inży- nier i profesor referowali wy- nikły przeprowadzonych przez siebie badań i na podstawie ich ustalano plany pracy dla za- stępców.

W kabine nawigacyjnej mru- gały różnokolorowe lampki na ekranach elektrointegratora, wykonującego tysiące działań matematycznych na sekundę. Wyniki obliczeń pojawiały się od razu na mapach oscylogra- ficznych, ukazując współrzędne niezliczonej plejady komet i potoków meteoroidów, w sa- siedztwie których przebiegała projektowana trajektoria po- droży.

Obiekt Rena minawszy z da- la układ słoneczny, przetasował orbity tych ciał kosmicznych, które słusznie nazywano „wi- działnym nieczym”. Jednakże nawet meteoroidy, przeważnie wspólnego z kometami pocho- dzenia, niekiedy nie większe od główki od szpilki, wywołujące codziennie na ziemi zjawiska spadających gwiazd, przedsta- wiały nie lada niebezpieczeń- stwo dla żeglugi międzyplane- tarnej. Energia kinetyczna bo- wiem takiego kamyczka przy zde- rzeniu ze statkiem kosmicznym, pedzącym z szybkością tysięcy kilometrów w sekundę, prze- kształcała się w energię cieplną, powodując skutki przewyższa- jące eksplozję bomby wodoro- wej, używanej do kruszenia skał.

Nie więc dziwnego, że nawi- gatorzy oświetleni niebieskim światłem bijącym z fluorozują- cych ścian kabiny, w milczą- cym skupieniu śledzili otrzy- mywane wyniki, rzucając co pe- wien czas do mikrofonu elek- trointegratora równania, roz- dzielając. Przesunął wyłącza-

wiązanie których wymagałoby kilku lat pracy biegłego mate- matyka.

W pewnej chwili w drzwiach kabiny ukazał się człowiek, średniego wzrostu, o jasnych, gładko w tył zaczesanych włosach, wysokim czołem i przenikli- wym spojrzeniu, dużych sza- rych oczu.

Siedzący powstali. Erivan skinięciem głowy po- witał nawigatorów. Chwilę przyglądał się oscylografowi i wreszcie zwrócił się do starsze- go nawigatora prosząc o dane dotyczące komety „Oterma”.

Starszy nawigator Maks Euwe odgarnął palcami pasmo lśniących włosów spadających mu na nieco zbyt wypukłe czo- ło i podszedł do segregatora. Nagle zawahał się, twarz mu spoważniała i pokryła się lek- kim rumieńcem zażenowania. Był wrażliwy na wszystko co dotyczyło jego pracy i dbał o to, aby obowiązki swe wykony- wać bez zarzutu, a tymczasem nie pomyślał o tej komecie. Or- bita jej leżała w całości pomię- dzy orbitami Jowisza i Marsa, trudno więc było przypuścić, że mogła ulec tak daleko idącym perturbacjom, że położenie jej należało brać teraz w rachubę.

Erivan dostrzegł zmieszanie Euwe.

— Proszę o jak najszybsze uzupełnienie danych — powie- dział — i przełączenie oscylo- grafu na ekran profesora Rena.

Gdy Erivan się oddalił, Euwe przebiegł wzrokiem po półkach segregatora.

— Słyszalesz — zwrócił się w kierunku pograżonego w ra- chunkach młodego aspiranta Pawła Sawcenko — przecież nie ma sensu przełączać tory wszystkich komet, zwłaszcza, gdy mamy wyjść z płaszczyzny ekliptyki pod kątem 38 stopni.

Sawcenko skierował swe jas- ne słowiańskie oczy, w których błyskały fioletowe iskrinki sy- gnalizatorów, na twarz mówią- cego.

— Kto wie, czy nie zawróci- my. Obserwacyjnych danych o obiekcie nadal brak. Może Eri- van przekonał Rena, zwłaszcza, że są chorzy.

Sawcenko w uśmiechu obna- żył rząd zdrowych zębów i po chwili dodał: Kometa „Oter- ma” jeśli się nie myli, znajduje się w tablicy zakłóceń.

Euwe sięgnął po tablicę. Pa- rę minut błądził oczami po ko- lumnach liczb, a potem usiadł przy stole i zaczął notować współrzędne.

Sawcenko przez ramię przy- glądał się obliczeniom.

— Obiekt Rena narobił nam bałaganu — westchnął z udaną determinacją i ręką wykonał jakiś nieokreślony ruch.

Euwe skończył i zbliżył się do mikrofonu. Zielone, fioleto- we i czerwone lampki, jak syg- nały samolotów na nocnym nie- bie, zamrugały na czarnej ścianie i po chwili nowa krzy- wa popłynęła jak wąż po mato- wej, porysowanej wykresami i upstrzonej liczbami szybie os- cylografu.

— Widzisz! — odezwał się do Sawcenki — peryhelium leży jednak poza orbitą Jowi- sza. Pamiętałem, że w chwili mijania się z obiektem kometa biegła równoległe i w tym sa- mym kierunku. Obiekt mógł najwyżej nieco zacieśnić jej elipsę.

Euwe poprawił włosy, wstał i bez słowa podszedł do tablicy rozdzielczej. Przesunął wyłącz-

ODCINEK SIÓDMY
Uszkodzona rakietą została po dwu latach odnaleziona na planecie Wenus przez wyprawę ratowniczą. Ta ostatnia ma jed- nak szersze zadania niż ura- towanie ginących; ma mianowi- cie odszukać tak zwany „obiekt Rena” — nieznanne ciało niebie- skie, którego nie można zaobser- wować teleskopami ani rada- rem, — a które wywołało za- mieszanie w krążeniu planet i komet systemu słonecznego. Ono też prawdopodobnie było przyczyną katastrofy rakiety. Tajemniczy obiekt leży w cen- trum zainteresowania prof. Re- na — kierownika naukowego ekspedycji badawczej. Tymcza- sem ewentualny odlot z plane- ty Wenus opóźnia się, gdyż kilku z uratowanych członków załogi zachorowało. Między in- nymi największe niebezpieczeń- stwo groziło Barze, młodej pra- cowniцы naukowej, a żonie inżyniera Dag Rossy. Dotknął- szy bowiem szczątków wenu- sjańskiego potwora — elektro- zaura, nieostrożnie tą samą ręką potarł oczy. Okazało się, że na palcach Bary znajdowały się resztki groźnego kwasu. Groziła więc jej ślepota. Tymczasem częste wyprawy „zadomawia” się na globie Wenus.

nik, łączący ekran z gabinetem Rena. Potem spojrział na zegar- rek i rzekł:

— Właśnie wschodzi słońce. Wyjdźmy na taras.

Erivan z papierosem w u- stach chodził tam i z powrotem po gabinecie, spoglądając od czasu do czasu na fantastyczne kwiaty tworzące wzór na gru- bym, tu i ówdzie powypalanym dywanie. Naprzeciw niego, przy niskim, mahoniowym sto- liku, pograżony w fotelu sie- dział starszy mężczyzna niskie- go wzrostu o orlim profilu i za- padłych, jakby podkutych nie- bieskim siłami oczach. Wija- cą się falą spadały ku nim z lekka szpakowate włosy. Inży- nier niekiedy przystawał i pa- trzał w szarą, jakby posypaną popiołem twarz siedzącego na- przeciw człowieka.

— Jutro skończymy wyłado- wanie — odezwał się wreszcie — a dalej jak uważacie profes- orze!

Ren milcząc poruszał cieni- ki palcami, jakby pięści lśnią- cą poręcz fotelu. Zdawało się, że nie dosłyszał pytania.

Erivan zapalił nowego papie- rosa i w tejże chwili zapłonął ekran.

— O, mamy dane — powie- dział.

Ren wstał i przyglądał się chwilę gmatwaniu krzywych i liczb. Potem przesunął palcem po szkle i zatrzymał go w pew- nym punkcie.

— Obiekt w tej chwili powin- nien znajdować się w projekcji na gwiazdozbiór Strzelca w od- ległości jednej czwartej parse- ka od nas. Ren włożył rękę do kieszeni marynarki, znow spojrzął na ekran i po chwili spytał:

— Jak się czują uratowani? Ten Bowski i... Sokołowa, jeśli się nie mylę?

— Bez zmian — powiedział inżynier, który szczerze pra- gnął zaniechania ryzykownej po- goni i powrotu na Ziemię.

W Leninopolisie Ciekawy go przerwane prace nad ostatecz- nym wyposażeniem „Galakty- ki”. Wiedział, że Rostów jest po uszy zawałony pracą, która odrabia również za niego. Ale cóż było robić! Instrukcje by- ły wyraźne, nie na próżno prze- cieć o tydzień spóźniono pomoc, czekając na wykonanie „Go- liata”, który miał wyładować na obiekcie i pobrać próbki materii z jego powierzchni. Je- dynie profesor mógł coś zmie- nić, gdyby zadanie uznał za niewykonalne.

— Nie mamy żadnych dan- nych o obiekcie — ponownie o- dezwwał się Erivan, widząc że profesor milczy.

— A obliczenia?

— W obliczeniach z koniecz- ności przyjęto zbyt wiele da- nych hipotetycznych. Dag Ros- sa na przykład doszedł do in- nych wyników.

Twarz Rena ożywiła się: — Jakto on przeprowadził obliczenia? Dlaczego dopiero teraz...

Swoim zwyczajem Ren nie dokończył zdania. Uśmiech znow zniknął z jego twarzy. Przybrała ona swój zwykły dra- pieżny i surowy wyraz.

— Dag Rossa — powiedział Erivan — dopiero dziś rano poinformował mnie o tym. Sam nie zdażyłem jeszcze.

(Ciąg dalszy za tydzień)

*) parsek — odległość, z której promień orbity ziemskiej jest wi- dzialny pod kątem jednej sekundy łukowej.